

Wiech  
Opowiadania przedwojenne

Tom II  
Zakochany złodziej



# Wiech

Stefan Wiechecki

## Zakochany złodziej

czyli  
opowiadania warszawskie

Zebrał i opracował  
Robert Stiller

vis-à-vis  
**etiuda**

Kraków 2023

Mniej znane realia i wyrażenia  
objaśniono w słowniczku na stronach 231–240

*Wolę książkę, która ma niepoważne zamierzenia i poważne osiągnięcia, od dzieł, które mają poważne zamierzenia i niepoważne osiągnięcia.*

Antoni Słonimski

*Uważam Wiecha za jednego z najlepszych polskich pisarzy współczesnych, niewyczerpanego w pomysłach i zajmującego wyjątkową postawę moralną. O Wiechu można nawet powiedzieć, że jest wielkim filozofem.*

Michał Choromański

*Wiech to gentleman, szalenie dowcipny, nigdy jadowity, często wzruszający. Jego felietony są wynikiem obserwacji bardzo uważnej, pracy w swoim rodzaju całkiem twórczej i na wskroś oryginalnej.*

Maria Jasnorzewska



## *Niebezpieczny zakład*

W wytwornej kawiarni „Pod Pomnikiem” na Bródnie siedział przy stoliku pan Ksawery Orzeszek w towarzystwie swego buldoga imieniem Lolus. Pan Ksawery popijał grzane piwo z cynamonem, Lolus z powagą ogryzał żeberko, spoglądając od czasu do czasu przekrwionymi oczami na gości, ulokowanych przy bufecie, i rozmawiającego z nimi gospodarza lokalu.

Tematem rozmowy było oczywiście imponujące zwierzę. Nie szczędzono mu pochwał, gdyż zalety jego były powszechnie znane w całej okolicy. On to uratował swego pana od eksmisji i przymusowej sprzedaży ruchomości, rozpędzając licytantów i drąc w drobne kawałki odebrane komornikowi akta. On to rozproszył na ulicy Świętego Wincentego silny oddział starozakonnych sokołów, udających się z własną orkiestrą na manewry.

Toteż komplementom nie było końca. Pan Ksawery z utoną dumą patrzył na Lolusia, rzucając mu coraz to nową kostkę.

W pewnej chwili do kawiarni wszedł jakiś niepozorny człowieczyna, prowadząc na smyczy niewielkiego jamnika. Stał przy bufecie, obstał setkę wódki i począł się przysłuchiwać rozmowie o cennych walorach Lolusia. Słuchał chwilę, a wreszcie rzekł:

– Możliwość, że ten buldok jest cięty w nosie i chojrak największy na całe Nowe Bródno, ale przed mojem Facetem zmiatałby do domu, aż by ziemia jęczała.

W towarzystwie zaległo pełne zdumienia milczenie. Wszyscy spoglądali z ciekawością na maleńkiego jamnika, który merdając ogonem, kręcił się niespokojnie na smyczy.

Pan Ksawery podniósł głowę znad szklanki i powiedział:

– Co pan szanowny mówi? Przed kim Lolus by zmiatał? Przed tą kaleką? Przed tem wiedeńskim giętem meblem? Przed

tą ofiarą losu? Czy pan wiesz, że on jedną łapą zimnego trupa z pańskiej łamagi zrobi?

– Daj pan spokój! Facet faktycznie pozoruje, ale trzech takich ważniaków jak pański cwajnos za klejentów do weteryniarza skuteczni. Zresztą o wiele o to się rozchodzi, mogę zrobić próbę: puścim ich na siebie. Jeżeli faktycznie facet pańskiego Lolusia nie oblatwi, ja stawiam kolejkę dla całego towarzystwa.

Pan Ksawery zgodził się bez wahania. Rozsunięto stoliki. Hodowcy ujęli swych pupilów za obroże.

– Zaraz, chwileczkę – zawołał właściciel restauracji zza bufetu. – Kto za szkody płaci? Buldok czy jamnik?

– Do sytuacji, czyli po połowie.

– W porządku! Puszczajcie ich panowie.

Pieski poszczone przez właścicieli z głośnym szczekaniem skoczyły, nie do siebie jednak, a na pełen przekąsek bufet.

Z trzaskiem spadł z niego słój korniszonów. Zadzwoniły szklanki i butelki. Powstał nieopisany tumult. W morzu smażonych kotletów, nóżek na zimno, serdelków i kanapek z boczkami kotłowały się obydwa psy, walczące do upadłego z kotem restauratora.

Po kilku minutach, dzięki wspólnym usiłowaniom właścicieli wszystkich trzech zwierząt, udało się przywrócić spokój.

Bufet jednak przedstawiał widok niezwykle żalospny. Restaurator, pan Euzebiusz Żelazko, zażądał wykonania umowy i zwrotu strat. Psiarze nie chcieli zapłacić ani grosza, motywując odmowę tym, że kot wszystkim winien.

W tym stanie rzeczy sprawa trafiła do sądu grodzkiego.

– Ani cwajnos, ani połamany jamnik nie winni, bo kot zaczął. Cały czas za słojem siedział i na nich mrucał. Dobrze go drania widziałem! – takie zeznanie złożył jeden ze świadków odwodowych, pan Konstanty Smaczny.

Mimo to sąd stanął na stanowisku, że umowa jest umową, i zasądził od obydwu psiarzy złotych 28 groszy 15 na rzecz poszkodowanego.



## *Salonowe maniery*

– Owszem, z derekcją tramwajów jestem za pan brat i z każdego śmieciarza konduktora mogię zrobić, to dlaczego bym panu, panie Piskorz, odmówić miała?

Usłyszawszy te słowa od osoby tak ustosunkowanej jak pani Genowefa Koralikowa, pan Konstanty Piskorz aż zbladł ze szczęścia. Od dawna już marzył o błyszczącej karierze tramwajarza. Cóż może być bardziej godnego zazdrości, jak chodzić sobie po zatłoczonym wozie i wołać groźnie: „Proszę za bilety!” Albo wydobytym z kieszeni metrem mierzyć walizkę pasażera, który twierdzi, że nie podlega ona opłacie... Pasażer drży z przerażenia, a my sobie flegmatycznie odmierzamy centymetr po centymetrze. Albo pijanego alkoholika za mordę z wagonu przy pomocy policji usuwać...

Cóż może być przyjemniejszego?

Wizja tej rozkosznej przyszłości tak oczarowała pana Piskorza, że ujawszy panią Genowefę za rękę, począł szeptać namiętnie:

– Pani Koralik kochana, zrób pani ze mnie konduktora, zrób pani konduktora!

– Owszem, faktycznie łatwo mnie to przyjdzie, tylko o to się rozchodzi, czy pan Piskorz na salonowym samopoczuciu się zna i czy z towarzyskiem kodeksem karnym jest otrzaskany. Bo to teraz pierwszy warunek w tramwajach. Cham czyli żłób z prowincji nie może za konduktora służyć, tylko człowiek z lepszej sfery. Z byle łachudrą pasażerem trzeba teraz w rękawiczkach i parle franse. Nie to, co dawniej było.

– O, co pod tym względem, możesz pani szanowna być o mnie spokojna. Wstydu pani nie zrobię. Wykształcenie mnie na to nie pozwoli. Skończyło się, jak by nie było, szkołę pływania Kozłowskiego, a także samo kurs tańców nowoczesnych profesora Wężyka na Górczewskiej. Oprócz tego, jak pani wiadomo, matka magle miała na Nowem Świecie, gdzie lepsza klientela bywała. Hrabiofskie i doktorskie bieliznę nieraz osobiście na ręcznym maglu kręciłem.

Przekonałeś mnie pan, panie Piskorz, że grzeczności nie trzeba pana uczyć. Posada jakby pańska. Ale o jednym musisz

pan wiedzieć, że koszta będą miała, bo z derektorem na ulicy się nie gada. Tylko trzeba go wziąć na kolację do baru „Pod Elektrycznym Tramwajem” na Wolskiej.

Pan Piskorz, jako człowiek światowy, wiedział o tym i wyasygnował pani Koralikowej na poczet wydatków 200 złotych. Po objęciu posady miał dopłacić jeszcze trzysta.

Minęły trzy miesiące, a zawiadomienie o powołaniu do służby w tramwajach nie nadchodziło.

Pan Konstancy wybrał się do pani Genowefy prosić o wyjaśnienie. Otrzymał odpowiedź, że dyrektor choruje na nerki, wskutek czego decydującą kolacyjkę „Pod Tramwajem” trzeba było odłożyć.

Gdy po dwóch następnych miesiącach w stanie zdrowia dyrektora nie zaszła żadna poprawa, pan Piskorz zażądał zwrotu przeznaczonych na ucztę pieniędzy. Otrzymałszy odpowiedź wymijającą, wybił swej protektorce trzy górne siekacze i dokonał ogólnego remontu jej mieszkania. Na dodatek złożył jeszcze skargę o oszustwo.

Pani Koralikowa przyznała się w sądzie, że właściwie żadnych stosunków w tramwajach nie miała, pieniądze zaś użyła na własne potrzeby. Jako okoliczność łagodzącą podała, że pan Piskorz i tak by się nigdy do tramwajów nie dostał, gdyż nie wytrzymałby egzaminu z manier towarzyskich, czego najlepszym dowodem jest, że podniósł rękę na kobietę, i to trzykrotnie.

Sąd, nie wyjawiając swoich poglądów w tej mierze, skazał panią Koralik na sześć miesięcy więzienia.

## *Dwumetrowe dziecko*

Przed sądem grodzkim przy ul. Złotej odbył się wczoraj ponury proces o groźenie śmiercią dziecku ze strony trzech uzbrojonych w rewolwery mężczyzn. Wszystkich ich nie udało się wprawdzie odszukać, ale jednego dosięgło karzące ramię sprawiedliwości i postawiło przed sędziowskim stołem.

Jako główny świadek dowodowy zeznawała matka dziecka, pani Apolonia Kosińska, następującymi słowy malując okropną scenę, jaka się rozegrała w jej domu:

– Na obiad, proszę wysokiego sądu, miał być rosół z kluskami, zwyczajnie, jak to przy niedzieli. Zmuszona jestem zaznaczyć, że mój mąż nie lubi fabrycznego makaronu, tylko kluski swojej roboty i to muszą być cieniuchne, proszę pana sędziego, wywałkowane i rzucone na wodę w ostatniej chwili.

– Niechże pani opowiada o sprawie – przerywa sędzia.

– Totyż opowiadam, że ponieważ mój stary fabrycznego makaronu nie lubi, stoję ja przy kuchennym stole i wałkuję ciasto na kluski do rosółu, wysoki sędzie.

No i co się robi, wchodzą te panowie. Tamtych dwu nie znam, ale trzeci to był właśnie ten dany pan Kubełek, który teraz tu przed wysokim sądem stoi. Owszem, nie mogię powiedzieć, przywitali się grzecznie i mówią, że mają życzenie pomócić interesownie z moim dzieckiem. Ja jem odpowiadam, żeby przyśli później, bo dziecko śpi.

Wtenczas pan Kubełek się pyta, jak długo jeszcze mój synek będzie na siłę żył z jego żoną i forszę na wódkie pod terorem od niej wyciągał.

– A ileż lat ma synek pani? – pyta zdumiony sędzia.

– Na Zielone Świątki skończy dwadzieścia dziewięć.

Słucham ja, co pan Kubełek mówi, i dalej wałkuję ciasto. A pan Kubełek do mnie: „Przestań pani wałkować te kluski!”

„Dlaczego?” się pytam.

„Nie opłaci się pani skórka za wyprawkie, bo syn i tak ich jeść nie będzie.”

To ja znowuż się pytam: „W jaki sposób?”

„W taki sposób, że on u mnie dzisiaj kucnie.”

– Cóż to znaczy? – wtrąca sędzia.

– To znaczy, że pan Kubełek go ostudzi.

– Sąd nie rozumie, proszę mówić wyraźnie.

– Ostudzi, czyli położy zinnem trupem.

I wtenczas pan Kubełek i te dwu panów sięgli za przeproszeniem najwyższego sądu pod kamizelki i wyjęli leworwery. Jak ja widzę, co się robi, lecę do dziecka.

– Feluś – krzyczą do niego – uciekaj bez okna, bo pan Kubełek życie ci chce odebrać.

No to ma się rozumieć dziecko jak stało, wyrznęło łbem w szybę i uciekło na ulicę. Te panowie za niem, ale go nie znaleźli, bo Feluś się schował do gołębnika.

Tu sąd przerwał tok opowiadania nieszczęsnej matki i rozpoczął badanie dalszych świadków.

Z zeznań ich wynikało, że dziecko pani Apolonii odznacza się dwumetrowym wzrostem oraz proporcjonalną budową ciała, a poza tym ma usposobienie awanturnicze oraz skłonność do używania sprężynowego noża.

Pan Kubełek zaś jest człowiekiem cichym i pokornego serca, rewolweru nigdy nie posiadał. Zajście więc musiało mieć przebieg zupełnie inny.

W tych warunkach sąd nie dał wiary zeznaniom tragicznej matki i pana Kubełka uniewinnił.

## *Wrodzony talent*

– I patrz pan, przez tego szczeniaka musiałem robotę rzucić, ogolić się w piątek, świąteczne ubranie włożyć i teraz tyle godzin siedzę w sądzie – mówił pan Roman Golonka do znajomego, spotkanego w przytulnej sali sądu grodzkiego na Długiej, rzucając jednocześnie groźne, ale nie pozbawione ojcowskiej dumy spojrzenie na siedzącego obok swego 11-letniego syna.

– A co on takiego skutecznił? – zainteresował się znajomy.

– Nie uwierzyłyby pan, panie Kowalik, jakbym panu powiedział. Sakpalto od swojego kolegi ze szkoły kupił za złotówki, a później Żydowi sprzedał za dychę.

Tamten drugi, jak przyszedł ze szkoły do figury, lanie od ojca dostał i wszystko wysypał, a teraz ja mam taki wstyd i ciąganie do sądu!

Pan Kowalik popatrzył chwilę z sympatią na młodego Golonkę i rzekł:

– No, no, to smykałkie handlowe posiada pański syn. Powinieneś go pan na bankiera kształcić, skoro jeżeli w tem kierunku

uzdolnienie posiada. Pęta, że gołem okiem go nie widać, a już przyzwoicie zarobić potrafił.

– I co z tego, kiedy cały czysty zysk na chałwę i kaliflorek przetrącił?

– Nic nie szkodzi, młodziak jeszcze jest i zabawić się potrzebuje, ale jak z tego wyrośnie, będziesz pan miał z dziecka pociechę. I po mojemu nie masz pan racji chłopcu dokuczać, bo wstydu panu nie zrobił. Ukraść nie ukradł, tylko kupił za gotówkę. Że tanio dał, to jego głowa w tem.

Frajera w kuper bić, jak się daje, to pierwsze przykazanie w handlującym fachu.

Będą z niego ludzie, już ja to panu mówię, ja, człowiek w szkołach kształcony.

Naukowa wiedza nas poucza, że wszystkie historyczne faceci już w małoletnim wieku wykazywali zdolność w swoim kierunku.

Weź pan na przykład takiego Napoleona. Dzieciak jeszcze był, a już, kiedy inne chłopaki w szkole w kukso czyli też klipę podgrywali, on tylko chodził i kompinował, komu by tu mordę zbić na moje uszanowanie, drugie śniadanie odebrać i pokątnie samemu wsunąć. I wiesz pan, jak się wyrobił?

Gienierał-gubernatorem się został, a później za cesarza go obrali i całemu świąty knoty dawał, jak chciał.

– No, tak jest, ale podobnie źle skończył, do mamra go w końcu zamkli.

– Bo za duże wymagania miał. Pieniądze zrobił, parę domów posiadał i wilje na prowincji, a wszystko było mu mało...

Zresztą cholera z Napoleonem, nie o to mnie się rozchodzi. Pański Heniek nie wojskowe powołanie odczuwa, tylko kupieckie, totyż tylko przykładowo o Napoleonie zaznaczyłem, że od młodości już się zamięłowanie w człowieku pokazuje.

To samo było z tem powieściopisarzem, któren na Krakowskim Przedmieściu na pomniku stoi, Mickiewicz się nazywa. Ten znowuż w szkołach wiersze układał, a później do takiej formy na książkach doszedł, że życzę sobie i panu, żebyśmy jedne część tego mieli.

– Faktycznie, ale tyż zbankretował i teraz jego książki po pięćdziesiąt groszy w koszach sprzedają.

– Księgarnie przestali być interesem, nie będę się z panem sprzeczał, ale Heniek niekoniecznie musi książkami handlować.

Obrał sobie męskie garderobę, niech pracuje w tej branży i nie trzeba mu przeszkadzać.

Zupełnie przekonany pan Golonka z dumną miną podszedł wraz z synem do sędziowskiego stołu, gdyż akurat wywołano jego sprawę.

Młody handlowiec stanął przy pulpicie dla oskarżonych wraz ze swym współnikiem, panem Mojżeszem Jagódką, lat sześćdziesiąt dwa, któremu sprzedał palto kolegi.

Niestety do rozprawy nie doszło z powodu niestawienia się dwu świadków. A szkoda! Warto by było się przekonać, czy sądy popierają młode talenty?

## *Ślubna wyprawa*

– Dzień dobry, kochana pani Prałatek, co słyhać? O wiele mnie oko nie myli, zmartwienie pani jakież posiada? Może małżeńskie sprzeczki pani miała i pan Prałatek fizycznie panią znieważył?

– Niedoczekanie jego, moczymordy! Zaniem by mnie ręką dotknął, już by go pogotowie do Świętego Ducha wzięło. Owszem, jezdem zmartwiona, a nawet spłakałam się jak na pogrzebie, ale nie z małżeńskiego nieporozumienia, tylko z powodu romansu i powieści, którą właśnie czytam.

– A pod jakim tytułem?

– Tego detalicznie nie wiem, bo w sam środek tej książki rzeźnik cynadry mnie zawiął. W każdym bądź razie romans to jest do płaczu o jednej nauczycielce, którą niejaki hrabia Waldemaras nadużył, a potem żenić się nie chciał, bo przodki, powiada, mu nie pozwalają.

– Tak, tak, moja pani, chłopu trzeba trzymać z daleka. Zaniem się do pościeli nie dostanie, w jednej chwili leciałby na zapowiedzi dawać, a potem to różne przyczyny sobie wynajduje, żeby tylko ten ślub odłożyć.

A to ciemnego garnituru nie ma, a to znowuż wujo z prowincji mu się żenić nie pozwala.

– Tu było inaczej. Ten ów hrabia ubrać miał się w co. Garnitur na garniturze w szafie mu wisiał, kamasz stał przy kamaszu. Mieszkanie także samo na wsi posiadał, konia, parę krów, a tego drobiu to byś nie zliczyła. Samych kaczek ze trzydzieści po podwórzu mu latało. Na kurczaki nawet nie patrzył.

– W taki sposób nie rozumie, dlaczego nie mógł się żenić?

– Rodzina, rodzina cholera się nie zgadzała. Wiadomo, kawalera każdy nażyje, ile chce. Szwagier nie szwagier, ciotka nie ciotka przyjedzie, nażre się, napije i jeszcze parę złotych pożyczyci. A jakby się ożenił z kobietą obliczalną, to złapałaby mokrej ścierki i familię rozegnała na cztery wiatry. Dlatego się wszyscy spomknęli, razem zjechali i dawaj go bontować, pod bajer brać, żeby się od ślubu cofnął.

„Potomek jezdeś – mówią mu – z hrabiną tylko możesz się żenić, która będzie miała jak się należy wyprawę.”

– Po mojemu krewne trochę racji mieli. Panna młoda powinna mieć najmarniej tuzin nocnych koszul ze wstawkami, sześć par majtek, trzy powłoczki, ze dwa podpięcia i kordłe z wierblądziej waty. Inaczej bym się swojemu Narcyzowi także samo żenić nie dała.

– A jakby się zakochał, a ta owa panna w sercowe chorobę z miłości wpadła, tyż byś pani nie ustąpiła?

– Wiadomo, że nie! Wyprawa to gront małżeńskiego szczęścia.

– Znakiem tego widzę, żeś pani taka sama cholera jak ta rodzina hrabiego Waldemarasa!

– Coś pani powiedziała?

– To coś pani słyszała. Patrzcie ją, tuzina koszul nocnych jej się zachciewa, dla takiego łatka galarowego! Sześć par desusów dla takiego łachudry, co świątecznego garnituru nawet nie ma! Dziewczynę do grobu chce wpędzić bez kordłe z wierblądziej waty! Stara szantrapa!

Tego już pani Genowefa Buraczewska nie mogła przenieść i wyrznęła gospodynię domu wiążką cynader w oblicze. Pani Prałatek odwzajemniła się jej wyżymaczką. Dalsza wymiana komplementów skończyła się wezwaniem pogotowia i sprawą sądową.

Jako jeden z dowodów figurował na sędziowskim stole fragment powieści Heleny Mniszkówny pt. *Trędowata*, od której wszystko się zaczęło.

I o dziwo, wyrok skazujący zapadł nie przeciwko popularnej autorce, a dotknął dwutygodniowym aresztem panią Buraczewską.

## *Wuj i siostrzeniec*

Pan Franciszek Kwiczół, rutynowany pajęczarz, który z niejednego strychu bieliznę zdejmował i niejeden wyrok za to odsiedział, czuł się dziś w sądzie ogromnie nieswojo. Kręcił się na ławce, wzdychał, mruzczał coś pod nosem, ogryzał paznokcie i w ogóle zachowywał się jak nowicjusz.

Zwróciło to wreszcie uwagę jego przygodnego towarzysza, pana Alojzego Szponderskiego, oskarżonego o kradzież ćwiartki cielęciny.

Pan Szponderski, zgorzony tym brakiem hartu ducha u mężczyzny w sile wieku, odezwał się do niego:

– Co jest, panie szanowny, czego się pan tak denerwujesz? Co ma być i tak będzie. Mamra pan nie widziałeś, czy jak? Sześć miesięcy mniej albo więcej to mucha.

– Nie o odsiadkę mnie się rozchodzi, tylko, rozumiesz pan, cholera mnie bierze, że przez rodzzonego wuja wleciałem.

– Jak to, lignął siostrzeńca? Takiego drania cała rodzina powinna się wyrzec, a przedtem fest gnaty przemieszać, żeby z osiem tygodni w szpitalu poleżał.

– Kiedy niechcący to zrobił, pod alkoholem się znajdując.

– To znaczy detalicznie jak?

– Zwyczajnie. Rozumiesz pan, poszłem jednego razu na robotę na Pańskie ulicę. Przychodzę na górę, owszem, bielizna wisi, towar odpowiedzialny, męski, damski i dziecienny, tylko że wszystko mokre, aż się leje.

A trzeba szanownemu panu wiedzieć, że cieć tam w bramce siedział i z workiem czyli tyż z koszem wyjść, senne marzenie.



Musiałem wszystko brać na siebie pod garnitur. Jakżem pierwsze damskie nocne koszule włożył, myślałem, że ze skóry wyskoczę. Ale trudno, nie było rady. Kładę jak idzie, tuzin koszul ze wstawkami, sześć par majtek, ręcznikami się owinąłem. Podpięcie na plecy. Pod biusthalter dwadzieścia cztery serwetki stolowe wsadziłem, na to garnitur, jesionkie i chodu.

Zimno mnie jak w przereźblu, dreszcze mną trzęsą, ale idę na wariata.

Trochę się tylko w bramie bojałem, żeby przy cieciu nie kichnąć. Ale wszystko poszło dobrze, bo dzwonicz kuchtę jakąś bajerował i na mnie wcale nie patrzył.

Wyszedłem na ulicę, dochodzę do rogu Wielkiej, patrzeć, a tu wujko Wężyk posuwa w pijanem widzie.

Jak mnie zobaczył, rodzinną miłość poczuł i dawaj się ze mną witać. A tam jak raz stał glina na rogu i zaczął się nam przyglądać.

Ja mrugam na wuja i zaznaczam po cichu, że całe pranie na sobie posiadam, a ten nic, tylko mnie ściska i raz koło razu mordy fonduje. Widzę, że krewa, bo praczka cholera źle bieliznę wyżyła i co mnie wujko ściśnie, woda mnie przez rękawy i nogawki cieknie.

Rozłościłem się w końcu i trzask wuja w ucho. Biusthalter pękł i dwadzieścia cztery serwetki na tretuar wylecieli.

Ja ma się rozumieć prysk w Bagno ulicę, ale dwanaście damskich koszul swoje robi. Nogi mnie się poplątali, przewróciłem się i masz pan rezultat.

Tę samą historię z pewnymi skrótami lojalnie opowiedział pan Kwiczol sędziemu, ale szafarz sprawiedliwości nie podzielił jego oburzenia na wuja i skazał nieszczęsnego siostrzeńca na rok więzienia.

## *Instruktor miłosny*

Pan Euzebiusz Rączka, zamieszkały w Marymoncie, jest właścicielem rasowego ratlerka liliputa imieniem Bukiet, którego chętnie wypożycza za skromną opłatą dla tzw. celów repro-

dukcyjnych. Ojcowskie talenty Bukieta znane są w całej Warszawie interesującej się hodowlą psów, nic tedy dziwnego, że dowiedział się o nich także pan Antoni Grymas, właściciel magli elektrycznych przy ul. Topiel.

Pan Grymas posiada suczkę tej samej rasy, co i Bukiet, więc postanowił wypożyczyć go w zamiarach matrymonialnych na dni parę. Udał się więc na Marymont i w krótkich słowach opowiedział cel swej wizyty. Pan Rączka, zajrzawszy do kalendarza terminowego, stwierdził, że jakkolwiek Bukiet ma moc zamówień na najbliższe tygodnie, w końcu miesiąca znajdzie prawdopodobnie kilka dni czasu dla Muchy pana Grymasa. Stało na tym, że pan Rączka przybędzie w dogodnym terminie na Topiel ze swym utalentowanym pupilem.

Tak się też stało. Właściciel Bukieta przybył. Zainkasował zaliczkę, zostawił wychowanka i wrócił na Marymont.

Po trzech dniach zjawił się po resztę należności i odbiór nowożeńca.

Zastał jednak pana Grymasa w złym humorze i dowiedział się, że Bukiet nie spełnił pokładanych w nim nadziei.

– Ano w taki sposób widocznie jest przepracowany. Trzeba mu dać parę dni odpoczynku.

Upłynęły jeszcze trzy dni i maglarz z miną strapioną przybył na Marymont, oświadczając na wstępie:

– Ten pański Bukiet to jakiś inwalida. Za zarciem tylko patrzy, a pod tem względem, co pan wisz a ja rozumie, ani się ruszy.

– A pan byś się ruszył na taki upał? To czego się pan stworzeniu dziwisz? Trzeba poczekać, aż się trochę ochłodzi.

Minęło znowu kilka dni. Tym razem dla odmiany pan Rączka odwiedził pana Grymasa.

– No i co?

– Nic.

– To niemożebność. Jeść mu pan dajesz?

– Wiadomo. Ćwierć kila okrawek codziennie opycha, a mleka, ile tylko zamarzy.

– A uważałeś pan dobrze?

No chyba. Nie dojem, interesu nie dopilnuję, po całych nocach nie sypiam, żeby go z oka nie spuszczać. A on tylko wtraja i leży. Za głodomora powinieneś go pan wynajmować, że pod

zakład całą szynkie i półmisek kartofli na jednym posiedzeniu wrąbie, bo na miłosnego instruktora kwalifikacji nie posiada.

– Nie obrażaj pan stworzenia, ja go znam lepiej. Trzy lata z całą rodziną z jego pracy żyję. Pokaż pan mnie tę swoją Muchę, bo jej jeszcze nie widziałem.

Pan Grymas przywołał suczkę, za którą przywłókł się osoby i wyraźnie zdehumorowany Bukiet. Pan Rączka spojrzawszy krytycznym okiem na Muchę i rzekł:

– Panie szanowny! i czego pan żądasz od Bukieta? Przecież ta pańska Mucha to ofiara losu, kalikatura na gęsich nogach, bigos rasowy, jak pragnę zdrowia. Chodź Bukiet do domu.

– Jak to, a zadatek, a mój ekspens?

– Co mnie to obchodzi? Pogadaj pan z Bukietem. Pies ma rację. Rasowy jest i szanować się musi, nie będzie się z byle łachudrą zadawał. Bukiet! idziem!

Ale pan Grymas był innego zdania. Wypchnął pana Rączkę na korytarz, zaryglował drzwi i oświadczył przez dziurkę od klucza, że dotąd Bukieta nie zwolni, aż ten nie odrobi zadatku oraz świadczeń w naturze.

Zrozpaczony hodowca pobiegł do komisariatu, ale tam mu oświadczone, by wystąpił na drogę sądową.

Będzie więc wkrótce ciekawy proces. O wynikach nie omieszkamy zawiadomić wszystkich przyjaciół zwierząt, każdy bowiem może się znaleźć kiedyś w tak trudnej jak pan Rączka lub pan Grymas sytuacji.

## *Koszty wymiany*

Pan Eugeniusz Piłka nie przywiązuje wielkiej wagi do dóbr doczesnych, toteż przyjął w barze „Pod Rumbą” przy ul. Smoczej fałszywe dwa złote, nic o tym nie wiedząc. Ale gdy przyszło do rachunku sumienia w domu i pani Piłkowa, po udzieleniu mężowi surowego monitu z powodu przepicia dwunastu złotych, odebrała mu resztę pieniędzy, rzecz cała wyszła na jaw.

– Gdzieś to dostał, pijacka roto? – zapytała groźnie energiczna pani domu.